

Sen
(Diabeł nie śpi z byle kim... Stanisław Jerzy Lec)

Mateusz to mój najlepszy przyjaciel.

Jest inny od pozostałych moich znajomych, czyli można z nim pogadać nie tylko o piłce nożnej i dziewczynach; a w zasadzie to właśnie z nim można pogadać o wszystkim, z wyjątkiem piłki nożnej i dziewczyn. Twierdzi, że futbol nie ma w sobie krzty logiki; dwudziestu chłopca biega za piłką, a dwóch dryblasów ma nie dopuścić, żeby wpadła w wyznaczoną przez słupki i poprzeczkę przestrzeń. I on miałby patrzeć na to dziewięćdziesiąt minut, i z niewiadomych powodów skakać i drzeć się na całe gardło, kiedy padnie ten upragniony gol? Bezsensowna strata czasu. A jeśli chodzi o dziewczyny, to nigdy go do nich szczególnie nie ciągnęło. Po prostu Stwórca obdarzył go niewielkim libido. Nawet w goliźnie nie widział niczego ekscytującego. Taki skok w bok ewolucji seksualnej.

Mateusz to mój najlepszy przyjaciel.

Wygląd ma nieszczególny; takie chude, wysokie indywiduum, z palcami jak kabanosy, cerą słabo opalonego albinosa i oczami koloru glonów morskich. Przystojniak, nie ma co. Ale niesamowicie obowiązkowy i oddany jak Gwardzista Szwajcarski. Dla osób, na których mu zależy, zrobiłby bardzo wiele. Taki wierny pies.

Mateusz to mój najlepszy przyjaciel.

Zawsze uporządkowany i pedantyczny. Od dziecka lubił szkołę za to, że wszystko było poukładane w ramy czasowe – początek, koniec, przerwa, następna lekcja, itede... Zakres materiału od A do Z. Szybko okazało się, że dla jego umysłu i pędu do wiedzy, to zdecydowanie za mało. Potrzebował wyzwań. Zwłaszcza w naukach ścisłych. Przedmioty humanistyczne uważał za zło konieczne.

Mateusz to mój najlepszy przyjaciel. A ja mam go zabić.

* * *

Pamiętam, kiedy to się zaczęło. Pamiętam ten pierwszy sen. Gdy rano wstałem z łóżka, obraz, który zobaczyłem w moich snach, ciągle tkwił w mojej głowie. Ten sen był jednak inny niż jakikolwiek do tej pory. Po prostu miałem wrażenie oglądania filmu. Realistycznego filmu. Ale ja w nim nie byłem postacią pierwszoplanową, tylko obserwatorem.

Widziałem małego kotka na drzewie. Taki czarny futrzak, z białymi skarpetkami i żółtymi ślepiami. Popiskiwał głośno, trzymając się pazurami grubej gałęzi wierzby. Bał się zejść; wdrapując się, nie przewidział, jaki obrót przybiorą sprawy na takiej wysokości. Starsza kobieta, idąc w sukurs, przystawiła drewnianą drabinę i powoli zaczęła pięć się w górę. Wszystko rozgrywało się w ogródku za białym parkanem. A ja widziałem to z pozycji osoby siedzącej na parkanie. Nagle coś trzasnęło. Szczebel, spróchniały ze starości, nie wytrzymał. Kobieta odgięła się do tyłu, zamachała w powietrzu rękami, starając się jeszcze uchwycić drabiny, po czym runęła w dół. Znowu trzasnęło. Tym razem ze starości nie wytrzymało biodro.

Ten sam „film” oglądałem pięciokrotnie. Pięć kolejnych nocy z rzędu. Zawsze byłem tylko widzem. Nieruchomym widzem. Nic nie mogłem zmienić. Już nawet odruchowo zaciskałem szczęki tuż przed

upadkiem i głośnym chrupnięciem. I za każdym razem kończyło się identycznie.

Szóstego dnia pędziłem na przystanek tramwajowy spod siedziby MPK, gdzie zakupiłem bilet miesięczny. Trasa, którą pokonywałem, była przeze mnie rzadko uczęszczana. W pewnym momencie minąłem posesję z białym parkanem. Przystanąłem, gdy usłyszałem głośne, piskliwe miauczenie. Spojrzałem na zegarek i na ogród. Widziałem koniec drabiny wędrujący w górę wierzby. Wiedziony raczej odruchem niż rozumem, bez namysłu nacisnąłem klamkę i sekundę później byłem już za furtką. W moim śnie, dokładnie o 11:58, kobieta zaliczała krótki lot bez amortyzacji z piątego szczebla na trawę.

– Proszę pani! Proszę poczekać! – krzyknąłem, biegnąc w jej kierunku. Na moim zegarku była teraz 11:57.

Zaskoczona, cofnęła stopę, która tkwiła już na pierwszym szczeblu.

– Ja to zrobię. – Zdecydowanym ruchem chwyciłem oburącz belki drabiny i wskoczyłem na drugi szczebel. Zanim zdążyła zaprotestować, ja już omijałem piąty. Chwilę później niesforna, mała czarna kulka wylądowała w ramionach około sześćdziesięcioletniej kobiety.

– Wie pani... – zacząłem, naciskając stopą na felerny szczebel opuszczonej już drabiny. – Ten wygląda, jakby potrzebował wymiany. Trzasnęło pod podeszwą. Tym razem był tylko jeden trzask.

– Dziękuję... – Właścicielka kota jeszcze nie doszła do siebie po szybkiej, niezapowiedzianej akcji.

– Muszę lecieć – pożegnałem się i popędziłem na tramwaj, nie wdając się w tłumaczenia. Za parkanem zatrzymałem się. Musiałem na chwilę oprzeć się o słup. Na moim zegarku była 11:59. To już nie był sen. A ja nie byłem obserwatorem.

Nie uwierzyłem w to, co zaszło. Zareagowałem instynktownie. Po prostu biały parkan i kot narzuciły mi wspomnienie snu. Wiele jest przecież białych parkanów. I często małe koty nie potrafią same zejść z drzewa. A drabina? Jedno wielkie próchno. Pewnie inne szczeble też łatwo zniszczyć, naciskając mocniej. Piąty to tylko przypadek.

I co z tego, że wszystko wyglądało identycznie jak w moim śnie? Idąc tym tokiem myślenia, szybko wyląduję w Koluszkach.

To był sen pierwszy.

Tydzień później, gdy wychodziłem ze stołówki studenckiej, zobaczyłem czerwonego chevroleta, kiedy skręcał w Nawojki. Wtedy do mnie dotarło. "To", stanie się dziś. Za pół minuty pojazd zrówna się ze mną. Pięć sekund później strzeli mu opona. Za kolejne dwie sekundy na chodniku przed obitą maską chevroleta będzie równie czerwono, jak na karoserii lakier metalik. Czerwień ta wypłynie z nastoletniej dziewczyny z długim blond warkoczem.

Z żołądkiem świeżo wypełnionym stołówkowym żarciem, ruszyłem w jej stronę.

– Przepraszam... – wydyszałem – ...którędy dojdę... do stadionu Wisły Kraków?

Niebieskie oczy z pewnym niepokojem zlustrowały moją postać. Pot perlił mi się na czole, łapałem powietrze jak ryba wyjęta z wody. No tak, sprinterem to ja nie byłem. Kondycję zostawiłem w sejfie dawno temu. Jakaś cysternę papierosów temu.

– Prosto, i... – pokazała ręką. W tym momencie huknęło. Jej palec zastygł w powietrzu i wskazywał właśnie chevroleta, który z piskiem zatrzymał się na chodniku kilka metrów przed nami. Kierowcy na szczęście nic się nie stało. I nikogo więcej nie było w pobliżu.

– Dziękuję, to ja już trafię. – Ulotniłem się, nie czekając na reakcję dziewczyny.

Sen o pękniętej oponie miałem tylko dwa razy. Wiedziałem gdzie i jak to się wydarzy. Nie wiedziałem tylko, kiedy. Nie znałem konkretnego dnia.

Sen o pękniętej oponie miałem dwa razy. Potem przychodziły kolejne. Zawsze cholernie realistyczne, nie jakieś tam sny o potworach czy spadaniu w przepaść. Niestety, nie czułem się w nich jak w snach. Oglądałem to, co miało się dopiero wydarzyć. A ja widziałem gdzie i jak do tego dojdzie. Kurczę,

oglądałem niejeden film klasy B o gościach, którzy mieli dokładnie takie zdolności i jakoś mnie to nie przekonywało. A teraz, bach! Mam i ja. Jasne, przyjemnie poczuć się bohaterem, ale uwierzcie mi – ja się na to nie pisałem. Chciałem studiować, żyć jak do tej pory. Oddawać się swoim pasjom, piłce nożnej, dziewczynom, chodzić z kolegami na piwko. Po paru miesiącach byłem zmęczony tym darem, „te” sny zdarzały się coraz częściej. A ja wiedziałem już, że nie mam przed nimi ucieczki. Wszystko to przez tego łysiego okularnika i egzamin.

Otóż pewnego dnia musiałem wybierać. W czasie, gdy ja miałem się pocić podczas ważnego egzaminu, taki jeden łysy jegomość będzie sobie szedł z zakupami ze spożywczego. Po drodze napotka sąsiadkę. Codziennosc. I tu dżentelmen co zrobi? Ukłoni się, powie zwyczajowe "Dzień dobry", i co? Uniesie nakrycie głowy. Gdyby w tym momencie patrzył pod nogi, może uniknąłby poślizgu. W końcu w styczniu przy dwudziestostopniowym mrozie nawet w dużym mieście nietrudno znaleźć słabo posypane miejsce. Może uchroniłby się przed wymuszonym piruetem i nie wylądowałby na ulicy z rozłożonymi rękami. Wtedy przejeżdżający motocykl nie musiałby hamować, co i tak nie da efektu. Zanim przednie koło zatrzyma się na śliskiej nawierzchni, po drodze robi papkę z kości śródrezcza i paliczków łysiego. A ja w tym czasie będę się zastanawiał, która z odpowiedzi od A do E jest właściwa. Kurczę, przecież tyle czasu się uczyłem. Tyle wysiłku i nauki. I zrezygnować z tego dla jakiejś mrzonki? Zresztą, może to się nie zdarzy – przekonywałem sam siebie. – Może nie dziś.

Ale gdzieś w podświadomości wiedziałem, że tak to będzie wyglądało. Pierwszy raz się przekonam, co spowoduje moja bierność. Sen nadszedł w nocy poprzedzającej kolokwium. Alternatywa była prosta, a ja nie miałem czasu na długie wahanie. Zaryzykowałem rękę okularnika, dla moich dalszych losów studenta trzeciego roku. Egzamin poszedł mi chyba dobrze. Byłem zadowolony. Jednak, jak zwykle po takich przeżyciach, zamiast pójść ze znajomymi do baru, wybrałem się do pobliskiego szpitala. Szczęśliwie, dzisiaj miał dyżur mój znajomy ortopeda. Nie musiałem go nawet o nic pytać. "Swojego" łysiego w okularach zobaczyłem, jak jedzie na wózku na oddział. Płakał.

Artur, wychodząc z SOR-u, zobaczył mnie i po powitaniu dodał:

– Niektórzy to mają pecha. Właśnie przed chwilą miałem pacjenta, który stał się kolejną ofiarą zimy. Ręka w rentgenie wygląda jak cholerne, źle skrojone puzzle. Nawet jak to się zrośnie, to będzie tylko do dłubania w nosie. Chopinem to on już nie będzie.

– Chopinem?... – zapytałem retorycznie. Wiedziałem już, co usłyszę.

– Gość jest pianistą. Widziałem go kiedyś w akcji. Żal mi go, cholera. Niestety, cudów nie ma. Prawą ręką nie zagra już na takim poziomie jak dotychczas. Pierdzielona zima. Pierdzielony lód.

Artur pożegnał się, a ja poczułem całą swoją małośćkowość. To ja zgruchotałem komuś życie. Jednym swoim egzaminem, jednym wyborem, jednym zaniechaniem zakończyłem karierę innej osoby. Tego uczucia nie da się opisać. Wstyd, żal i złość zmiksowane w jednym kotle. Coś we mnie pękło. Dlaczego ja? Dlaczego ten dar nie trafił na jakiegoś księdza czy siostrę miłosierdzia? Oni by sobie poradzili z takim balastem. Niechby ratowali świat, dlaczego akurat ja zostałem wybrany?

Sny przychodziły i dyktowały mi warunki: "wiesz, co ma się stać, wiesz, że możesz to zmienić, czy weźmiesz odpowiedzialność za tych ludzi?". Drugi raz nie było mi dane przekonać się, jakie będą efekty mojego zaniechania, nie miałem odwagi. Gdzieś w środku miałem taki defekt, odpowiedzialność, czy coś. Nie mogłem siedzieć na dupie z założonymi rękami. Po prostu nie mogłem. Może i czułem się wyjątkowy, niestety, nie miałem czasu na własne życie. I wiecie co? Chętnie bym wrócił do tego starego, oddał komuś to brzemię. Superbohater. Chcecie znać moje zdanie? To przesrane, i tyle. Zamierzałem skończyć farmację, zostać magistrem i osiąść gdzieś w jakiejś aptece, wydając ludziom masę leków, suplementów diety i dobre rady. A ja, oprócz nauki, zajmowałem się tylko ratowaniem innych, obcych ludzi. I nikt o tym nie wiedział. Większość osób nawet nie zdawała sobie sprawy, że uniknęła katastrofy – od drobnych

urazów po wypadki śmiertelne. A ja byłem wybranym, bezimiennym bohaterem. Wyjątkowym.

Niestety, nawet to w końcu okazało się mitem. Byłem wybrany, ale nie byłem wyjątkowy. Wybór wynikał z czegoś innego. Po osiemnastu miesiącach od pierwszego snu zaczęły pojawiać się takie, dla których poprzednie były – jak się domyślam – przygotowaniem gruntu.

Te nowe sny były straszne. Wizje niedalekiej przyszłości po kolejnej wojnie światowej. Noc w noc nawiązywały mi przerażające widoki zrównanych z ziemią miast i wałęsających się wśród zgłiszcz ludzi z chorobą popromienną. Tych, którzy mieli nieszczęście przeżyć. Płacz, jęk, ból. Głód, osamotnienie i zero nadziei na lepszy byt. Rano czułem się, jakby przejechał przeze mnie walec. Wiedziałem, że muszę coś zrobić. Coś, co odwróci ten los. Po to zostałem wybrany. Wybrany, ponieważ ten zbrodniarz z przyszłości, ten winowajca i morderca spał codziennie na łóżku pod przeciwległą ścianą. Armagedon zafunduje nam niejaki Mateusz Latro. Mój współspacz.

Po dwóch miesiącach proroctw-koszmarów zdecydowałem się w końcu porozmawiać z tym przyszłym geniuszem. Geniuszem, który otworzy puszkę Pandory, zostanie jednym z jeźdźców Apokalipsy. Całą rozmowę miałem ułożoną w głowie. Zanim jednak udało mi się dojść do trzeciego zdania, Mateusz wybuchnął śmiechem. Wiedziałem, jak to zabrzmiało. Dlatego do tej pory nie zwierzałem się nikomu. A skoro mój najlepszy przyjaciel kazał mi się popukać w głowę, nie mogłem liczyć, że ktoś inny mi uwierzy. Podejmowałem więc liczne próby przekonania Mateusza. Bezskutecznie. Nie wierzył w moje słowa, trudno mu się jednak dziwić. W końcu obwieścił, że jeśli nie przestanę o tym wspominać, to albo się wyprowadzi, albo zamówi dla mnie ubranko. Takie związane z tyłu.

Powoli do mnie docierało. Jest tylko jeden pewny sposób – trzeba wyeliminować zagrożenie ostatecznie, zawczasu. Muszę zabić mojego najlepszego przyjaciela. Dopóki mam okazję.

Wieczorami bałem się zasnąć, nocami wracały obrazy, które prześladowały mnie za dnia, nie pozwalały mi się uśmiechnąć. Chodziły za mną wszędzie. Tabletki od psychiatri odrzuciłem. Tylko mnie otępiały. Żaden specyfik nie zabijał moich snów. Czułem ciężar tego brzemienia. Początkowo, głupi, myślałem, że przekonam Mateusza. Szczera, konstruktywną rozmową. Niestety, sny nie zniknęły, a potem już nie próbowałem, bojąc się, że naprawdę się wyprowadzi i stracę możliwość planu B. Zbrodni w imię ludzkości.

Wydaje się wam to proste? Dlaczego w ogóle mam dylemat? Czy gdyby ktoś wam dał możliwość zabicia Hitlera, czy Stalina, zawahalibyście się? Jestem pewien, że każdy by to zrobił. A przynajmniej teraz tak twierdzi. Można by przecież uratować tyle istnień ludzkich. Tylu niewinnych. Dlatego wybór był prosty. Teoretycznie i w hipotetycznych rozważaniach. Czy mogę zabić jedną osobę, ratując miliony? Mogę, powinienem, to mój obowiązek. A ja nawet muchy czy komara nie zabijam. Niech sobie żyją. A teraz z zimną krwią mam zabić najlepszego przyjaciela? Za zbrodnie, których jeszcze nie popełnił. Kto obmyje moje ręce z krwi?

Nieraz w nocy patrzyłem, jak spokojnie śpi. Ten ohydny zabójca. Leży sobie na wznak i spokojnie oddycha, nawet uśmiecha się przez sen. Podchodziłem do niego. Przymierzałem ręce do jego szyi. Wyobrażałem sobie, jak je zaciskam, jak pozbawiam go życia. A on otwiera nierozumiejące oczy i ostatnim przeblyskiem świadomości pyta mnie – Dlaczego? Dlaczego? Któż dał ci władzę mnie osądzać i wymierzać karę? Zostaniesz mordercą, Adamie.

No właśnie. Nie potrafię zostać mordercą – zrzucam z siebie odpowiedzialność. – Nie dam rady.

Nie dawałem rady przez dwa lata. Codziennie łączałem się w myślach. Przecież tu nie ma dylematu. Skoro to jedyna możliwość, muszę to zrobić. Gdyby Hitler dostał się na Akademię Sztuk Pięknych, to miliony straconych i poległych przymknęłyby oko na jego sztukę. Niech sobie maluje. Próbowałem podobnej drogi – Mateusz nie dał się przekonać. Wiedziałem, że jeśli ukończy AGH, otrzyma grant, rozpocznie własne badania i odkryje nową broń. Nie zatrzyma się w odpowiednim momencie. Nie pójdzie malować swoich obrazów, zajmie się polityką. I moje obrazy ze snów staną się realne, a ja nie będę tylko widzem.

Wszystko to przewijało się w moich snach, przeplatane scenami po katastrofie.

Zabiję go – podjąłem decyzję. Po raz dwudziesty tego dnia. Po raz dwusetny w tym tygodniu. Ile to razy już przez ostatnie dwa lata byłem pewny, że to zrobię? Miliony. Tylko nie umiałem. Nie zawahałbym się ani nanosekundy, gdyby ktoś zechciał się ze mną zamienić. Myślicie, że mam niepotrzebne skrupuły? A zabiliście kogoś własnoręcznie? No właśnie.

Kiedyś sny nauczyły mnie jeszcze jednego. Jeśli uda mi się zmienić to, co ma nadejść, działając w odpowiedni sposób zawczasu, to również sny znikają. Wydarzyło się tak kilkakrotnie. Na przykład sny o pewnej nieznanym dziewczynie; buzia nastolatki, długie czarne włosy, śliczny uśmiech. Taka Winnie Cooper z „Cudownych lat”. Widziałem, jak bierze prysznic, jak w pewnym momencie otwiera drzwi kabiny i bierze suszarkę. Mycie i suszenie – dwa w jednym. Ale fizyki to raczej nie studiowała. Trzask, błysk i po chwili widziałem jej otwarte, martwe piwne oczy, wlepione we mnie przez zaparowaną szybę kabiny. Trzy dni później idąc korytarzem do windy, minąłem Winnie Cooper. Była naprawdę ładna. Zresztą widziałem, jak wygląda nago. A raczej, jak będzie wyglądać. Niestety, nie potrafiłem delektować się powabami młodego ciała. Niedługo już nikt się nimi nie będzie delektować. Weszła do 502. Wieczorem zapukałem delikatnie do tego pokoju. Znałem przelotnie mieszkające tam dziewczyny. Przygotowałem sobie plan działania. Otworzyła mi Anka.

– Cześć, przepraszam, że zawracam głowę, nie masz może pożyczyć cukru? – Plan naciągany jak cholera, wirtuozem subtelności to ja nie byłem.

– Jasne, wejdź, ile potrzebujesz? – szczebiotała, udając się w głąb akademickiego mieszkanka, a ja posłusznie za nią.

– To moja kuzynka, Baśka. – Przedstawiła mi siedzącą na łóżku Winnie.

– Miło mi, Adam jestem. – Uśmiechnąłem się jednym z moich najbardziej uwodzicielskich uśmiechów. Przynajmniej w moim mniemaniu. Wyciągnąłem rękę, i – udając, że dopiero zauważyłem na niej czarne smugi – przeprosiłem.

– Drobną usterka w umywalce – dodałem. – Czy mógłbym skorzystać z łazienki?

Dwie sekundy później stałem przed kabiną prysznicową. Miejsce tragedii. Dokładnie takie, jak widziałem wcześniej, z tą tylko różnicą, że pod prysznicem było pusto. Umyłem ręce, a potem umiejętnie wdąłem się w pogaduszki z Anką i Baśką. Niby przypadkiem, ze smutną miną opowiedziałem o córce sąsiadów z mojej rodzinnej miejscowości. Taka tragedia – relacjonowałem – młoda dziewczyna, a taka głupia. Wzięła pod prysznic suszarkę. A wiecie – woda i prąd to mieszkanka wybuchowa. Tak ją kopnęło, że nie udało się jej uratować. Znaleźli ją wprawdzie szybko, bo w całym domu zgasło światło, a gdy pukali do łazienki, nikt nie odpowiadał, więc wyłamali zawiasy i... ech... przykra sprawa. Pamiętajcie dziewczyny, jak się robicie na bóstwa, broń Boże nawet mokrymi rękami dotykać suszarki. Jasne? – Mrugnąłem porozumiewawczo do Baśki. Pożegnałem się i wyszedłem. Zrobiłem, co mogłem – pomyślałem na odchodnym.

Tej nocy sen nie powtórzył się. Trzy dni później Baśka wyjechała, a dwa miesiące po tym zdarzeniu Anka wyprowadziła się do narzeczonego. Pokój 502 przejął ktoś inny. Sen nigdy nie wrócił.

Jednak sny dotyczące Mateusza wracały co noc. A ja chodziłem jak *zombie* między uczelnią, akademikiem i nocnymi koszmarami. Moje stosunki ze współlokatorem stały się jeszcze lepsze niż kiedyś. Dbałem o to, żeby nie stracić go z oczu. To był naprawdę super gość, jak on mógł stać się, a właściwie stanie się zagładą milionów? Widziałem w nim tylko sympatycznego, młodego chłopaka. Chłopaka, którego miałem uśmiercić. Miałem zostać jego katem, aby on nie został katem wielu innych istnień. Jedną śmierć za życie rzeszy ludzi.

Stałem przy oknie i patrzyłem, jak Mateusz idzie powoli w stronę przystanku tramwajowego. Mateusz był przewidywalny. Tak bardzo pedantyczny, że czasami zastanawiałem się, czy nie jest to jakaś łagod-

niejsza postać autyzmu. Kiedy jego dzień nie układał się według planu, mocno się irytował. Ale dzięki temu wiedziałem z grubsza, jak wyglądają jego dni. Dziś tradycyjnie w przerwie zajęć o godzinie jedenastej wyciągnę swój kubek termiczny oraz bułkę z serem i sałatą (wędlinę jadł na śniadanie). Przez kilka minut będzie spokojnie konsumował posiłek, popijając gorącą herbatą z kubka. Z tego samego, w którym rano jego przyjaciel zrobił mu napój. Wedle upodobań – czarna herbata z cytryną, miodem, imbirem i pięć goździków. Zabijając smak nietypowych dodatków. Dodatków, które jako student farmacji kolekcjonowałem od paru tygodni. Rano, jak wiele razy wcześniej, przygotowując sobie śniadanie, zapytałem Mateusza, czy jemu również zrobić herbatę do kubka. Potaknął, idąc do łazienki. Dawka, którą wsypałem, zabiłaby konia. Jak już działać, to mieć pewność, że skutecznie. Na wszelki wypadek umyłem i wytarłem kubek ściereczką, zostawiając go na stoliku. Będę głównym podejrzanym, ale nie chciałem tak beczelnie podpisywać się pod morderstwem. A zresztą, kara mi się należy. I tak nie będę z tym mógł dalej żyć. Jeśli wszystko się powiedzie, pewnie dziś wieczorem moje sny się zakończą. Będę bohaterem, ale zapewne do końca życia nie będę mógł spokojnie spać.

Miałem kiedyś psa. Gdy był już bardzo stary i chorował, trzeba było go uśpić, aby nie cierpiał; ja nie potrafiłem się z tym pogodzić. Nie umiałem. Ojciec podjął decyzję za mnie. Miałem mu to za złe, ale później zrozumiałem, że poczułem ulgę, kiedy to ktoś inny zajął się tą sprawą. Ja nie miałem siły na skrócenie męki czworonoga. A dziś ratuję świat. Kończąc jeszcze niewinne życie. Profilaktyka przede wszystkim, potem leczenie – wielokrotnie słyszany banal na studiach.

Gdyby tak przez Mateusza zginęła choć jedna osoba, byłoby mi łatwiej. A tak, nie miałem nawet odwagi spojrzeć mu dzisiaj w oczy. Ten ostatni raz.

Mateusz pochodził z pijackiej rodziny. Gdy miał cztery lata, ojciec, w trakcie zakrapianej awantury uderzył matkę, która upadła tak niefortunnie, że zakończyła żywot. Ojciec, kiedy nieco otrzeźwiał, powiesił się. Na oczach dziecka. Na szczęście później Mateusz trafił do ciepłej rodziny zastępczej, dzięki czemu wyszedł na ludzi. Przynajmniej na razie. Czy to trauma z dzieciństwa, której nie da się wymazać, tak go wypaczyła? Czy przez wiele lat zło zasiane przez rodziców kiełkowało w nim, by wybuchnąć w dorosłym życiu? Czy da się to odwrócić? Łudziłem się, że tak. Obdarowywałem go przyjaźnią tak wielką, na jaką było mnie stać, chciałem, żeby uwierzył w ludzi. Może zasiane przeze mnie dobro zmieni bieg czasu? Niestety, sny wracały co noc. Niedługo skończymy studia, nasze drogi pewnie nieco się rozejdą. Lepszej szansy mógłbym nie dostać. Paradoks polega na tym, że chcę być farmaceutą; wydawać ludziom lekarstwa. Wystarczy jednak trochę proszków w odpowiednio większych dawkach i znajdę się na drugim biegunie. Truciciel.

Niech będą przeklęte te sny. Niech będzie przeklęta możliwość wyboru. Niech będzie przeklęta chwila, w której go dokonałem. Nic nie ukoj moich wyrzutów sumienia. Nawet świadomość, że uratowałem miliony ludzkich istnień. Nie czuję się bohaterem.

Słowo daję, jeśli jeszcze kiedyś przyśni mi się „taki” sen, zrobię to, co ojciec Mateusza. Chociaż instynktownie czułem, że to "danie główne", że ten sen będzie ostatnim. Potem do końca życia będę mógł siedzieć w aptece. To nie będzie zbyt bezpieczne przy takiej ilości morderczych środków na wyciągnięcie ręki. Zbyt duża pokusa.

Popatrzyłem na zegarek. Jeszcze pół godziny do jedenastej. Ciężar w moim sercu narastał. Moja zbrodnia zbliża się do finału. Przypomni mi się mój stary pies. Wtedy nie dałem rady. Teraz obiecywałem sobie, że wytrwam. Ręce mi drżały z napięcia, nie mogłem ustać chwili w bezruchu, nie wspominając o siedzeniu.

Popatrzyłem w lustro. To tylko kwestia czasu, kiedy zobaczę w nim mordercę. To tylko kwestia czasu.

Kwestia czasu? Czasu? Przecież mam go jeszcze wiele.

Wsypanie trucizny to krótka ścieżka. Być może jedyna skuteczna – śmierć wynalazcy zbrodniczej technologii. Ale jeśli istnieje droga dłuższa? Jeśli będę przy Mateuszu całe jego życie, może uda mi się wpłynąć na niego, interweniować w odpowiednim momencie. Sny lub ich brak poinformują mnie o

skuteczności mojego działania. Gdy zawiodę jako przyjaciel, powtórzę numer z kubkiem termicznym. To tylko kwestia czasu. Dziś, czy za wiele lat. Ale jeśli mogę poświęcić się w inny sposób, jeśli jest chociaż cień szansy, że może się udać, to dlaczego nie spróbować? Czy na pewno warto? Mam pół godziny albo całe życie.

Mateusz to mój najlepszy przyjaciel.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Carvedilol, dodano 30.03.2017 16:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.